Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 35. POZNAŃ, DNIA 2. WRZEŚNIA. 1843.

Literatura krajowa.

LIST STANISŁAWA LESZCZYŃSKIEGO KRÓLA POLSKIEGO do CÓRKI SWÉJ KRÓLOWÉJ FRANCUZKIÉJ.

(Z FRANCUZK. AUTOGRAFU PRZEŁOŻONE.)

27. Czerwca 1735. r.

Kochana córko!

Pospieszam z opisaniem ci méj ucieczki z Gdańska, by ukoić twe przywiązanie i niespokojność względem smutnych kolei mego losu. Ujrzysz w niém widoczną łaskę Wszechmocnego, który mię w braku wszelkiéj ludzkiéj pomocy wybawił z tego niebezpieczeństwa.

Wielu oskarza mię o nierozwagę, że w ostatecznéj dopiéro chwili pomyślałem o swém ocaleniu; jak gdyby godziło się cenić swą osobę, kiedy sumienie, honor i ojczyzna, te trzy najświętsze znamiona godności człowieka domagają się od niego praw sobie należnych! Gdyby nawet i te szlachetne uczucia nie rządziły mną, gdyby stałość i odwaga obcą była méj duszy, to i tak z prostego wyrachowania, musiałbym o ile można zwlekać mą ucieczkę, co chwila bowiem oczekiwałem znacznéj odzieży, przedwczesne zaś opuszczenie Gdańska, byłoby mię pozbawiło téj korzyści a wydało na pastwę nieprzyjaciela życie i mienie nieszczęśliwych obywateli, którzy w méj tylko obronie smutny stan oblężenia znosili. Tak więc należało albo bronić się do ostatka, aby dać czas nadciągnienia spodziewanym posiłkom, albo zagrzebać się w gruzach miasta śród mężnych jego mieszkańców i drogich sercu memu Polaków, którzy wraz z rodzinami zgodną podziwienia stałością, poświęceniem nieszczęścia moje podzielali. — Nikczemne dopiéro poddanie Wexel-Mündu, a ztąd widoczna niemożność dłuższego oporu zniewoliła mię do ucieczki, tém bardziéj, że piewszym warunkiem ocalenia miasta było wydanie méj osoby. Niechcąc wtedy, stać się przyczyną zupełnéj jego zaguby i ulegając prośbom otaczających mię rodaków w mém ocaleniu jedyną nadzieję, lepszéj przyszłości upatrujących, postanowiłem niezwłocznie Gdańsk opuścić.

Wówczas dopiéro poznałem całe przywiązanie i troskliwość wszystkich mych towarzyszów, każden przedstawiał mi rozliczne środki ucieczki; jedna nawet z kobiet chciała przebrać się po wiejsku i za pomocą dobrze znanego jéj z okolic wieśniaka, przeprowadzić mię jako swego męża. Radzono mi znów, aby na czele 100 walecznych szablą przetorować sobie drogę śród licznych zastępów nieprzyjacielskich, lecz pomysł ten jakkolwiek piękny, niepodobny był do wykonania, bo z jednéj strony wylewy na trzy mile rozciągające się, z drugiéj szańce nieprzyjaciela, niezostawiały dla jazdy żadnéj do przebycia drogi. Z tysiącznych więc coraz rozmaitszych projektów wybrałem jeden najpodobniejszy do wykonania, podany mi przez Ambasadora.

W niedzielę 27. Czerwca przeniósłem się do niego, pod pozorem przebycia spokojnéj nocy i uchronienia się od bomb, które w bliskości mego mieszkania padały. O dziesiątéj wieczorem przebrany za wieśniaka w jednéj tylko grubéj koszuli wyszedłem z jenerałem Sztejnflickiem, z pałacu Ambasadora, ku okopom, gdzie złączyć się miałem z odbywającym dnia tego służbę majorem. Na dwóch łodziach przebyliśmy rowy opasujące twierdzę, lecz zaraz przy wstępie naszéj podróży doznaliśmy nieprzyjemnego zajścia. Oficer stojący z kilkoma żołnierzami na posterunku, przez zbytnią gorliwość, pomimo przełożeń majora niechciał nas przepuścić, byłby go nawet i zabił, bo już zmierzył do niego, gdyby mu był major nie odkrył tajemnicy. Oficer niedowierzając jesz-

cze zbliżył się z latarnią do łodzi, a wtedy poznawszy mię, dopiéro nas przepuścił, oddając należne wojskowe honory i życząc pomyślnéj podróży. Ten wypadek nie wróżąc nic pomyślnego przejął mię obawą, żeby tajemnica tak wcześnie powierzona niewykryła się.

Rozstawszy się z Majorem, płynąłem śród wylewów, spodziewając się téj jeszcze nocy przebyć Wisłę i przed świtem być już z dala od czat nieprzyjacielskich. Lecz jakżem się zdziwił, gdy przewodnicy moi upłynąwszy zaledwie ćwierć milki, zatrzymali się w jakiéjś nędznéj pośród wód chacie dając za przyczynę, że za mało już było czasu do przeprawienia się przez Wisłę i że na zajutrz dopiéro o zmroku daléj puścić się będzie można. Mimowolnie musiałem nato przystać, jakkolwiek zupełny brak ostrożności na widoczne narażał mię niebezpieczeństwo. — Niepewność powodzenia przytłumiło we mnie całodzienne znużenie; niemogąc więc zasnąć, postanowiłem tak długie dla mnie chwile obrócić na bliższe z memi czterema towarzyszami poznajomienie się. Pierwszy z nich zdający się być naczelnikiem, mimo całéj godności w którą się przyoblec usiłował, niemiał wiele objecującéj fizjonomyi, jakoż niezadługo miałem sposobność przeświadczenia się o jego glupocie. Chcąc powiększyć swe znaczenie, ciągle drugim rozkazywał, to wymagając od nich posłuszeństwa, to nakazując milczenie i niemogąc ścierpieć aby z nim rozprawiano. Sambym chętnie poddał się jego rozkazom, gdybym się nieprzekonał, że niema najmniejszego wyobrażenia o miejscowości i rozłożeniu nieprzyjacielskich posterunków. Znaczne tylko wynagrodzenie przyobiecane mu przez Ambasadora, taką natchnęło go odwagą, że gotów był na oślep prowadzić nas w pośrod nieprzyjaciela, byle tylko otrzymać przyrzeczoną zapłatę. Drugiego, który jak mi otwarcie wyznał był bankrutem, najwięcéj polubiłem, znał bowiem dobrze język polski. — Dwaj zaś inni, byli to ludzie, których zowią u nas Sznapansami (?); z postawy ich i ułożenia poznać było można dwóch koronnych łotrów. Przesiedziałem całą noc na ławie, wsparty na ramieniu kupca, z którym mogłem swobodniéj po polsku rozmawiać.

W poniedziałek rano 28. wyszedłem przed dom przyjrzeć się miastu, do którego wciąż bombardowano. Okropnego doznałem uczucia przywodząc sobie na myśl nieszczęśliwe jego położenie i cały smutek wiernych mi przyjaciół, którzy niezadługo będą zmuszeni ogłosić się memi przeciwnikami. A gdy rozważać począłem mój stan obecny, brak wszelkiéj pomocy, w pośród ogromu niebezpieczeństw, jakkolwiek przywykły z dawna do przeciwności losu i zahartowany w nieszczęściu, byłbym jednak upadł pod ciężarem gnębiącego mię przeznaczenia gdyby widoczna łaska Boga nie wsparła mych sił i nie natchnęła ożywczą nadzieją. Tak smutnemi zajęty myślami, roić począłem o różnych wypadkach, gdy nagle silny wystrzał ze wszystkich bateryi z obozu i floty nieprzyjcielskiéj, wywiódł mię z tego osłupienia. Sądząc, że to było oznaką radości po zdobyciu Wexel-Mündu, niezmierną uczułem żałość, którą zaledwie przełożenia jen. Sztejnflika ukoić zdołały.

Kiedyśmy jedli polewkę przez niego zgotowaną, przypływa jakiś Sznapans (wieśniak) z kartką od kapitana do jenerała Sztejnflika z życzeniem pomyślnéj podróży, i darem dwóch wędzonych ozorów na drogę. Niemogliśmy pojąć skąd i od kogo przysłano nam tę karteczkę, i jakim sposobem wieśniak mógł nas wynaleść; złą wszakże powziąłem wróżbę, bacząc na zupełny brak ostrożności, który co chwilę mógł nas przyprawić o zgubę. Bóg jednak zostawiając nam ten jedyny środek ocalenia, chciał zachwiać w nas ufność we własne siły, zmuszając nas polecić się Jego tylko opiece i wszechmocnéj nad nami Opatrzności.

Za zbliżeniem się, z takiém upragnieniem oczekiwanego zmierzchu wsiedliśmy na łodzie; musieliśmy wciąż przedzierać się przez krzaki i najniedostępniejsze miejsca, lub brnąć nieraz po kolana w błocie, ciągnąć za sobą łodzie na rowy lub inne głębsze wylewy. Około północy, dostaliśmy się wreście na drogę prowadzącą do Wisły i tam wysiedliśmy na ląd. Nasi przewodnicy złożyli między sobą radę, nieprzypuszczając nas do niéj. Skutkiem jéj było, rozłączenie się nasze z jen. Sztein., który z naczelnikiem i bankrutem miał iść wzdłuż drogi; ja zaś z dwoma Sznapansami wróciłem do łodzi mając się o milę zejść, z tamtym orszakiem. Rozłączenie to mocno mię zasmuciło, bom przewidywał, że nie ujrzę już więcéj Sztejnflika. Będąc już nad rzeką, myślałem że w tém miejscu przeprawić się będzie można, byłto tymczasem Neering naprzeciw miejsca, z którego po dwugodzinném zaledwie usiłowaniu zdołaliśmy się wydostać. Widząc że się oddalamy od drogi, pytałem się o mych towarzyszy. — „Są przed nami, i wkrótce złączymy się“ — odpowiedziano mi.

Za zbliżającym się świtem trzeba było znów na cały dzień wstrzymać naszą podróż; — że zaś wszystkie domy téj okolicy zajęte były przez Moskali lub Kozaków, musieliśmy stanąć u jakiegoś wieśniaka znajomego moim przewodnikom. Ten zapewnił nas na wstępie, że niema u niego Kozaków, ale że śród dnia często doń przychodzą; — mimo to niemając lepszego schronienia, trzeba było zostać. Dwaj moi towarzysze zaprowadzili mię na poddasze, dali na posłanie trochę słomy, upewniając, że będą około domu czuwać i wyszukają zarazem swych

towarzyszy. Chociaż przez dwie nocy nie zmrużyłem oka, niemógłem jednak zasnąć na tak twardém łóżku. Wyjrzawszy przez okno, spostrzegłem dwóch Moskali o dwadzieścia może kroków od domu, pilnujących koni na łące, i oficera przechadzającego się w pobliżu; o sto zaś kroków daléj przechodził oddział Kozaków z sześciu ludzi złożony. Ujrzawszy ich cofnąłem się do mego ukrycia, myśląc zaraz jakim ujść sposobem przed tą pogonią, za mną może wysłaną. Bardziéj jednak byłem otoczony, niż z początku myślałem, bo niezadługo przyszła gospodyni, ostrzedz mię, żebym najmniejszego nierobił szmeru, gdyż pięciu Kozaków jest u niéj na śniadaniu. Przerażony tém doniesieniem, nieśmiałem się i poruszyć, zostając przez dwie godzin w takiéj cichości, żem słyszał całą ich rozmowę o oblężeniu Gdańska. Zaraz po odejściu Kozaków, przyszła do mnie gospodyni: domyślając się jakiéjś tajemnicy, poczęła mię wybadywać, co jestem za jeden, skąd idę, że niewyglądam na wieśniaka, chociaż za takiego chce uchodzić, z mowy zaś poznaje żem nie jest krajowcem; przytém zaczęła okazywać obawę, żeby Moskale odkrywszy mię, niechcieli przez zemstę spalić jéj domu. Niespokojny, żeby mię z tego powodu nie wydała, zacząłem o ile możności uspokajać ją i przekonywać, że mój chwilowy pobyt żadném niebezpieczeństwem ani jéj, ani jéj mieniu nie zagraża. Jakoż uspokoiwszy się nieco, odeszła.

Siedząc samotnie przez cały wtorek 29. rozłączony z jen. Sztejnflikiem, doznawałem tych okropnych cierpień, jakie dręczą człowieka, kiedy chcąc działać musi siedzieć nieczynnie, oczekując z założonemi rękoma, choćby najsmutniejszego losu. W takiém rozmyślaniu dwa szczególniéj spostrzeżenia mocno mię uderzyły, a razem pociechą natchnęły. Raz, że Bóg oddzielając mię od jen. Sztejnflika, chciał zniweczyć we mnie wszelką nadzieję ludzkiego wsparcia, a wzbudzić ufność w Jego tylko opiekę. Drugie zaś było następujące: przy rozstaniu się dał nam Ambasador po 100 #. Nieprzyzwyczajony do noszenia przy sobie pieniędzy, które mi w pieszéj podróży bardziéj jeszcze ciężyły, chciałem je oddać Sztejnflikowi; ale czém inném zajęty, przepomniałem o tém. Łatwo możesz teraz ocenić moje położenie, gdybym zewsząd opuszczony, śród nieznanych został bez grosza! Ta uwaga przeświadczyła mię, o boskiéj nademną pieczy i błogim przejęła spokojem.

Znudzony tak długą samotnością, zeszedłem na dół dowiedzieć się od mych przewodników, co się stało z jen. Sztejnflikiem. Zaręczyli mi, że téj jeszcze nocy możemy się z nim złączyć, bo o ćwierć tylko mili jest od nas oddalony, nieradzą jednak przeprawy w tak małéj łodzi, bo coraz bardziéj wzmagający się wicher, narazić nas może na oczywistą zgubę. Musiałem im przedstawić całe niebezpieczeństwo dłuższego tu pobytu, żeby ich nawrócić do niezwłocznego wyruszenia; jakoż po długim oporze, wsiedliśmy na statek z początkiem zmroku. Zaledwie ćwierć milki upłynąwszy, musieliśmy wysiąść na ląd i brnąć od tąd po kolana w bagnach, z dobrą milę aż do saméj Wisły. Tam, jeden z mych przewodników kazał mi się zatrzymać, a sam poszedł przekonać się, czyli statek o ćwierć mili stamtąd ukryty, jest w pogotowiu. Po godzinném przeszło oczekiwaniu, przyszedł nareście z tą niepomyślną wiadomością, że go niema w przeznaczoném miejscu; że niezawodnie musieli go Moskale uprowadzić.

W tak niespodziewanym wypadku należało wrócić się napowrót; uszedłszy z milę drogi, wstąpiliśmy do jakiegoś domku, którego właściciel był rozsądnym, czynnym i odważnym człowiekiem. Przyrzekł zaraz przeprowadzić mię przez Wisłę, jakoż dotrzymał słowa. Tymczasem ukrył mię na poddaszu, a sam poszedł wystarać się o łódź i obrać miejsce najpewniejsze do przebycia.

Było to dnia 30. w środę: miotany niespokojnością niemógłem wcale zasnąć. Wyjrzawszy oknem ucieszyłem się spostrzegłszy naczelnika mych towarzyszy, który zbłądziwszy z jen. Sztejnflikiem, wracał teraz do nas. Jak tylko wszedł, zapytałem się o jenerała. Odpowiedział mi, że najpewniéj musiał się dostać do niewoli, bo przeszłéj nocy w miejscu naznaczoném na przeprawę, zostali napadnięci przez Kozaków, przed którymi on zaledwie umknąć zdołał. Cios tak przykry dla mnie, musiałem znieść z odwagą, bo tylko zupełna przytomność umysłu i przytłumienie choćby najsroższych cierpień, mogły mię wybawić z tego niebezpieczeństwa. Tą myślą łagodziłem mój smutek i umniejszałem obawę.

O piątéj wieczorem nadszedł téż mój gospodarz, z tém oznajmieniem, że jakkolwiek wystarał się o łódź rybacką, nie podobna jednak odważyć się teraz na przeprawę, bo dwóch Moskali stoi u tego właśnie rybaka, który ma nas przewozić, a mnóstwo Kozaków rozpierzchło się po całéj okolicy, jedni dla pilnowania pasących się koni, drudzy dla schwytania mię, gdyż o ucieczce méj z Gdańska nieprzyjaciel powziął już wiadomość. Dla tego téż chwytają wszystkich przechodzących, podobnego ze mną wieku i postawy. Ta wiadomość pozbawiła mię zupełnie nadziei; chcąc jednak użyć wszelkich środków ratunku, uradziłem z mymi towarzyszami, żeby tę noc i dzień następny przebyć w tém ukryciu.

Przez cały dzień następny zajmowaliśmy się tworzeniem rozlicznych zamiarów ucieczki i wynajdywaniem miejsca najdogodniejszego do przeprawy. To zaś muszę nadmienić, że bodźcem odwagi i obfitości w pomysłach,

była butelka wódki, którą odchodząc wzięliśmy z pałacu ambasadora. — Z wielką wszakże umiejętnością musiałem używać tego środka, jeśli bowiem moi przewodnicy za mało jéj wypili, zaraz złowrogie widmo niewoli i szubienicy stawało im przed oczyma, odéjmując odwagę i nadzieję pomyślnego końca. Wypiwszy zaś za wiele ślepego nabierali zuchwalstwa i wtenczas gotowi byli przeprowadzić mię przez sam środek nieprzyjacielskiego obozu. Tak więc byłem jeszcze w powód dwóch tych ostateczności w ciągłéj o los méj obawie, co było tém nieznośniejsze, że nieumiejąc dobrze po niemiecku miałem wielką trudność w wytłumaczeniu im myśli i nawzajem w zrozumieniu zepsutéj ich wymowy.

Przez całe siedem dni méj włóczęgi, posilałem się butelką wina węgierskiego, którąm także wyniósł z pałacu ambasadora.

O szóstéj wieczorem przybiegł gospodarz oznajmując mi z radością, że można się już przeprawić, bo Moskale z całéj okolicy wyruszyli. O zmierzchu wsiadłem na konia i udaliśmy się ku miejscu o milę tylko odległemu, gdzie czekać już miała na nas łódź rybacka. Gospodarz także jechał konno o 50 kroków przedemną, trzéj zaś towarzysze szli zamną pieszo, tworząc niby straż tylną. Brnęliśmy po głębokich bagnach, w których koń mój słaby na nogi, ciągle się potykał — co chwila natrafiając na rozliczne zawady znacznie nasz pochód opóźniając. Zewsząd widne były nieprzyjacielskie ogniska, dla gotowania żywności porozpalane, które także omijać należało. Z obawą równie przechodziliśmy tuż pod wioskę Kiejsmarkiem, gdzie stał mocny oddział nieprzyjacielski strzegący parku artyleryi i znacznego składu amunicyi. Uszedłszy z pół mili spokojnie, mój gospodarz kazał nam się zatrzymać, a sam poszedł przekonać się czyli przesmyk niebezpieczny do przebycia, niebył teraz przez nieprzyjaciół zajęty. Jakoż w krótce przybiegł z tą zastraszającą wiadomością, że nowa gromada Kozaków nadciągła w te strony, przytrzymano go nawet, i ledwie tym wykrętem uwolnić się zdołał, że szukał swych koni, któremi wiózł żywność do ich obozu.

(Dokończenie nastąpi.)

Djabeł polski.

(Ciąg dalszy.)

Téj prostéj logice Szlachta nic niemogła zarzucić, bo obrona szlachetczyzny tak słaba jest, że jéj nikt utrzymać niezdoła, gdy księża chrześcijańscy na nowy się zdobyli wybieg: „Oto mówili Ludowi, pracujcie na Szlachtę, bo to jest przykazanie Boże, przykazanie odkupiciela kościoła Chrystusa — po śmierci Bóg wam doczesne cierpienia wynagrodzi niebem, a bunt przeciw p r a w é j władzy Szlachty skarze Bóg piekłem.“ — Lud uwierzył, a jeżeli gdzie nie wierzył, to przemocą fizyczną Szlachta w jarzmo go swoje, jako winowajcę — bywało, w koło kary wpletła. Że Lud uwierzył, nie ma w tém nic zadziwiającego, bo choć społeczność przedchrześcijańska była w Polsce demokratyczną, tę rzeczpospolitę ludową jarzmili księża, przez nich lud wychowany był w tém, aby wierzyć księżom, więc ten, gdy jego bożyszcza zniszczono mu, a gdy nową wiarę chrześcianizmu pełną dziwów posłyszał, lud jéj uwierzył, i uwierzył temu, co mu prawili księża. Na przewadze wiary i na przemocy sparła się Szlachta. Z ucisku lud jednak mógł jeszcze powstać, bo widząc się niewolnikiem, a niemogąc nawet z tą małą okruchą nauk ewangielii, które mu dano poznać, pojednać pojęcia niewoli, pojął, że został złudzony, powrócił się więc w duchu do pogaństwa i dziś jeszcze twierdzimy i dowodzim, ten Lud nasz lubo tak bardzo zhromiały, ten Lud zna jeszcze pogańskich, zdrowych i pełnych życia bo demokratycznych pojęć ostatki przechowane, z ich odnośnią ku teokracyi, ich mytyzmem czysto przedchrześcijańskim.—Rozpatrzmy się tylko w Ludu obyczajach, w jego pełnym męczeństwa, a jednak i pełnym uroków żywocie, w jego klechdach, w jego pieśniach, a przekonamy się o tém najdowodniéj, najzupełniéj.

Nie chcemy twierdzić przez słowa, iż Lud powrócił się w duchu do pogaństwa, jakoby porzucić miał chrześciaństwo i uczcić dawnych Bogów, bo dawne pojęcia, dawne wyobrażenia, nawet mityczne, dawne obrządki zachował w całości, i tylko z czasem dał je sobie wydrzeć, lub przekształcić; — a chrześcianizm z jego obrządkami uważał tylko jako szatę chroniącą od prześladowań. Owe sobótki, wianki, kolędy, owe czary, owe pieśni i podania, ów świat wprost przeciw-chrześciański, uroków i cudów pełen, w któren do dziś dnia Lud wierzy, owe ubóstwianie przyrody, tęczy (tęcza pije wodę z jeziora, jest to śliczna dziewica, — tęcza widoczna to jéj warkocz), — por dnia (południe widmo, bóstwo południa) — por roku (letnica, jesiennica i. t d. rusałki tych por roku) i tysiączne inne pojęcia Ludu nie sąż tu stanowczym dowodem? Lecz gdy Lud raz stał się w duchu znowu z niezupełnego chrześcianina poganinem, więc upadła dlań powaga moralna szlachty, jako od Boga chrześcian ustanowionéj, i zaczął z nią bój — już nietylko umysłowy, lecz i fizyczny i umysłowy. — Czemu jednak nie rzucił się wprost na szlachtę i przemocy praw swych się nie dobił, praw każdego człowie-

ka, które mu szlachta równie przemocą wydarła była?— to teraz nader trudno do rozstrzygnienia! Snać albo szlachta musiała być bardzo mocniejszą od Ludu, alboli zbyt zręcznie potrafiła utrzymywać go w pognębieniu. Lud chwytał się często strony wodzów szlachty, wojewodów, zwanych według zwyczajów łacińskich królami, którzy jednak nigdy nie byli nimi w takiém znaczeniu wyrazu, jakie mają rex, roi, lub König. Za Bolesława np. Śmiałego widoczne jest rozdzielenie się stronnictw szlacheckiego od stronnictwa wodza, królem zwanego, które składał Lud po większéj części, bo szlachta trzymała stronę z duchowieństwem, wiecznie Lud nienawidzącém. Uczynimy tu mały zwrot myśli do tego, jak nierozważném jest żądanie niektórych pisarzy, np. Trentowskiego w Chowannie, aby księża wychowywali Lud, lub Cieszkowskiego w rzeczy o Ochronach wiejskich, aby rząd kształcił za pośrednictwem właścicieli Lud, — lub myśl Golca w rozprawie wieś i miasto, aby feudalna postać wsi rozwijała ukształcenie Ludu, aby podobne bezmyśli módz utrzymywać, trzeba nietylko dziejów naszych nieznać, nietylko nieznać ani jednego rzutu spojrzenia krytycznego, ale trzeba nieznać Ludu, trzeba niemieć zdrowego pojęcia filozoficznego. Bo jakże proszę (że pomijam już inne przykłady) może ksiądz wykształcić Lud, gdy żywioł Ludowy zupełnie jest sprzecznym z żywiołem łacińskiego uspołecznienia? może ksiądz rozwijać żywioły Ludowe? ksiądz, który choćby był najlepszym, musi mieć pleśnią łacińskości zardzewiałe i serce i ducha? ażaliż godzi się niepomnieć na to, że obecnie w ukształceniu Ludu właśnie o to chodzi, aby go z pod jarzma wpływu fanatyzmu i zabobonów wyrwać? A cóż dopiero, gdyby szlachcie zostawić nasz biedny Lud, lub rządowi od najpierwszéj młodości poddać, rządowi, który się na szlachetczyznie wspiera?

Powróćmy do rzeczy... Lud wyrobił sobie pojęcie chrześciaństwa zupełnie mylne, a raczéj nie wyrobił go sobie wcale. Czyją to było winą? — łatwo odgadnąć, będąc w najwyższym stopniu ujarzmionym i pognębionym, pokochał całą miłością ludową, olbrzymią swoję przeszłość, a znienawidził łacińskości, téj przyczyny swojéj niedoli, a z nią razem i chrześcianizmu nienawidził. Ów Bóg chrześcian wydał mu się nie jako bożyszcze, domowe, własne, z którém żył przed laty, lecz jako srogi i okropny pan, mniéj więcéj nie ojciec lecz szlachcic, który będzie ujmował się za szlachtą, i kto przeciw niéj powstanie, na jego zemstę zasłuży, kto w pokorze cierpieć będzie, pozyska względy wszechwładnego. Czy Lud istotnie mocno w byt tego Boga, Boga szlachty wierzył, czy tylko obawiał się jego istności, ażeby też to czasem prawdą nie było, co owi nowi szlachetcy księża prawią, — to chyba dalsze badania wykazać zdołają; tymczasem zdaje nam się być rzeczą pewną, że wzgląd na owego Boga srogiego, którego Lud być sądził Bogiem Chrześcian, mógł mieć wpływ na wstrzymanie wybuchu Ludu przeciw szlachcie, lub na osłabienie zupełne siły materyalnej i umysłowéj Ludu, siły, którąby mógł przeciw szlachcie powstać, i którą ile mogła szlachta nie przestawała paraliżować. Że zaś o Bogu, jako o srogim szlachty sprzymierzeńcu, myślał sobie Lud o sprzymierzeńcu, którego wiary nienawidził, nie bał się nietylko téj nienawiści okazać, lecz nawet samemu sobie jéj przyznać, — to nie podlega wątpliwości, bo spojrzmy np. na pojęcie, jakie Lud miał o szatanie, dawnym olbrzymim Czarnobogu słowiańskim, — tego rozwaga dowiedzie myśli przytoczonych i rozjaśni jeszcze przedmiot.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nieco o mowie.

(Dokończenie.)

Tak wysoko stał nasz język w XVI. wieku, ubiwszy sobie pewną drogę, po któréj miał daléj postępować, drogę szeroką, wybitną, rodzimą, szczero-polską. Na téj to drodze znajdował się, rzec można, aż do r. 1622. poczém nastały czasy uśpienia, głuchéj ciemnoty, jezuickiego wychowania młodzi, a zatém także szkodliwego wpływu na dalszy postęp języka, i przeciągły się niestety aż do połowy XVIII. wieku.

W tymto wieku ogólnéj w Polsce pomroki prawie z rozmysłu, jak się wyraża Lesław Łukaszewicz, skażono język, a ponieważ wielebni O. O. Jezuici cały ogrom uczoności i światła z obszernéj kadzi Alwara lub Donata w mózgownice wąsatych uczniów za nadto gorliwie wlewali, nie postąpiła naprzód prawdziwa oświata, a zatém i język zatrzymawszy się zdobił się dziecinnie wroniemi pióry szumno-butnéj łaciny.

Dopiéro od roku 1750. zacny pijar Stanisław Konarski oświecał swoją latarką ojczyste, zakopcone bogi. Powstało wprawdzie piśmiennictwo francuzko-klassyczne; ale oczyszczano język z makaronizmów, komissya edukacyjna wprowadziła do nauk polszczyznę zamiast zbutwiałéj łaciny, i postąpiono krok naprzód, chociaż jeszcze niepewnie, jakoby po długiéj, osłabiającéj niemocy. Klassycyzm francuzki wygórował, opanował umysły najoświeceńszych głów w kraju, ale właśnie u szczytu swego w początku XIX. wieku

runął obok blasku świeżéj, narodowéj pochodni. Requiescat in pace! zaśpiewało mu nowe, rodzime piśmiennictwo polskie, które się do dziś dnia coraz bardziéj rozwija, i przy innym stanie teraźniejszéj oświaty coraz bardziéj, da Bóg, postępować będzie. Postęp języka polskiego w tych dwóch dla nas tak ważnych okresach snadno każdy zobaczy w dziełach Krasickiego, Karpińskiego, Kniaźnina, Naruszewicza, Brodzińskiego, Woronicza, Malczewskiego, Mickiewicza i tylu innych nowoczesnych pisarzy. — Taką drogą postępował język polski, wykształcał się coraz bardziéj, idąc krok w krok z oświatą narodu, równie jak wszystkie inne języki. Przyszedł on dzisiaj do rzeczywistéj samowiedy swojego istnienia, poznaje swoje prawdziwe stanowisko, otrząsa pleśń obczyzny z narodowéj sukni, a przy rozpromieniającém się świetle błogiéj i ożywczéj polskiéj filozofii nie zboczy zapewne z prawéj drogi, bo widzi jasno ściegi przed sobą leżące, i mroczne jary nienawistnéj nocy, która mu zgubą groziła.

Wypada nam jeszcze oznaczyć wspólny stósunek mowy do towarzyskości. — Z początku żył człowiek dziko, samotnie, w stanie zwierzęcym, błąkając się po lasach. Gdy zaś myśl jego obudzona zajęła się tworzeniem mowy, natenczas zbliżał się człowiek do człowieka słuchając jego uczuciowych udzieleń; chociaż już i przed tém łączył się mężczyzna z kobietą niejakim węzłem społeczeństwa, acz tylko na czas najmozolniejszego stanu swojéj połowicy, co już poniekąd było postępem, zarodem towarzyskości, bo i tego nawet pierwéj nie było. Mowa dopiéro silnie popychała rozproszonych tułaczy do koła towarzyskiego, łączyła ściśléj małżeństwa, i przyciągała całe rodziny do siebie. Wykształcenie mowy i wykształcenie towarzyskości postępowały z sobą w prostym stósunku. Obok wzajemnego udzielania się potrzeby jednych stawały się potrzebami obopólnemi różnorodnych rodzin. Małe, nieliczne rodziny zagrożone napadem sąsiedniéj dziczy szukały u siebie wzajemnéj pomocy, kojarzyły się przymierzami, i znosiły się z hordami potężniejszemi od siebie. Tak powoli pod sprzyjającą i konieczną firmą wzrastającéj mowy tworzyły się rodziny, rody, narody, a potém i państwa — jedném słowem towarzyskość w różnych odcieniach. W miarę ich wzrostu postępowała także jako poruszająca przyczyna mowa, trzymając się ustawicznie za rękę ze swoją sąsiadką czyli raczéj córką; bo myśl matka mowy, a przez nią pośrednia matka towarzyskości.

Z témto naszém twierdzeniem, że mowa i towarzyskość w równym z sobą postępowały stósunku, zgadza się zupełnie zdanie Woltera mającego z resztą dosyć dziwne wyobrażenie o początku i powstaniu mowy. Słowa tego króla materyalizmu są następujące *).

Mais avant d'en venir à former une société nombreuse, un peuple, une nation, il faut un langage; c'est le plus difficile! Sans le don de l'imitation on n'y serait jamais parvenu. On aura sans doute commencé par des cris, qui auront exprimé les premiers besoins; ensuite les hommes les plus ingenieux, nés avec les organes les plus flexibles, auront formé quelques articulations, que leurs enfants auront répétées, et les mères surtout auront denoué leurs langues les premieres. Tout idiome commençant aura été composé de monosyllabes, comme plus aisés à former et à retenir. — A nieco daléj: *Les Grecs et les Romains n'eurent les mots plus composés, que long temps après s'être réunis en corps de peuple.*

I tak niby bez daru naśladowania rozumie się brzmień dźwięczącéj przyrody nie przyszliby ludzie nigdy do utworzenia mowy, jakby to naśladownictwo już mowę samo przez się utworzyć miało. Z tego przypuszczenia Wolterowskiego snadnieby wynikło, że stworzenia naśladujące głosy mówić mogą, czy to ludzie, czy szpaki, sroki, kruki i t. d. Ależ przecie dotychczas nie znamy innéj prócz ludzkiéj mowy w ścisłém znaczeniu tego słowa t. j. mowy jako uzewnętrznienia się myśli w głosie. Słusznie zaś zauważał Wolter, że matki do wykształcenia mowy wiele się przyczyniały mówiąc ustawicznie z dziećmi, i wprawiając tém słabe ich języki do wymawiania sobie już znajomych wyrazów, a przeto i do gładszego cieniowania dotychczasowéj ostrości i wynajdowania słów zupełnie nowych.

Przeszedłszy ważne zapytania o początku i wykształcaniu się mowy, zastanówmy się teraz nad tém, zkądto wziąść się mogło tyle różnorodnych języków!

Myśl tworząc mowę obudziła się z umysłowego uśpienia zewnętrznemi wrażeniami dźwięcznéj, żyjącéj przyrody; a przyszedłszy do poznania siebie saméj, a przeto i tego dźwięku przyrodniego nazwała go stósownie do tego zewnętrznego, słyszalnego głosu. Potém urobiła słowa na przedmioty widzialne, a potém i oderwane wyrazy. — Wszędzie zatém, jak widzimy, przyroda silnie wpływała tak na początek, jako też i na dalsze wykształcenie mowy. Inaczéj zaś wpływa przyroda na człowieka w gorącéj Indyi, inaczéj przy lodowatém morzu; inaczéj w roskosznych Włoszech, a inaczéj w zimnych, śniegowych stepach

*) Des sauvages.

zamarzłéj Grenlandyi. Powierzchnia zatém ziemi i jakość onéjże we wszystkich swoich odcieniach, którą w tém znaczeniu zowiemy przyrodą, wpływała rozmaicie na urabianie się mowy. Podniebie zatém, góry, płaszczyzny, wielkie rzeki, jeziora, morza, stepy, piaski — wszystko to wywarło różny wpływ, bo w różnych odmiennych okolicach na poczynającą się lub wzrastającą mowę. Ztąd także rozmaicie urabiały się narzędzia mówne: cały ustrój mowy. I w téj to zewnętrznéj, (ale konieczněj z pojęcia istoty bóstwa) wpływającéj na myśl obudzoną przyczynie ukrywa się główny i jedyny powód rozstrzelenia się myśli ludzkości ogólnéj, na tyle różnych mów, a każdéj mowy na tyle różnych narzeczy, podrzeczy i innych drobniejszych jeszcze, miejscowych, bo nawet pojedyńczych osobników cieniowań. To rozstrzelenie się myśli ogólnéj stanowi piękną, cudowną rozmaitość i nieskończone bogactwo rozpromieniającego się ducha na tyle narodów, dążących przecież znowu do jedności, do skojarzenia się wzajemnego w owém źródle doskonałości, którego są wypływem i widomym objawem. Cóżby to było na świecie, gdyby nie uwijały się na jego powierzchni stubarwne narody! Gdyby ludzkość stanowiąca jeden naród, jednym tylko mówiła językiem! Zmieniłaby się prawdziwie w bydlęcą, martwą rzeszę nie mającą uczucia wewnętrznéj godności, nie posiadającą poświęcenia się ani za grosz za swój naród, ojczyznę, państwo — któregoby nie miała. Wtenczas to ludzkość stałaby się trzodą służącą za podnożek wyuzdanym i dzikim despotom, którzyby wtedy ludami jak bydłem handlowali. Wtenczas to świat byłby bez życia, bez postępu. Jakże zaś przedziwnie inaczéj się dzieje! Jakże piękny, prawdziwie boski świat w kryształowych odcieniach tylu różnorodnych narodów, dążących przecie społem do celu swego przeznaczenia — do Boga. Człowiecze! padniéj na kolana i uwielbiaj mądrość i istotę przedwiecznego w widownym jego objawie!

Ponieważ duch każdego narodu osobliwie odbija się w słowie, i w témże ustala osobne rodowe piętno, którem się od innych rozróżnia narodów; widzimy zatém, iż naród patrzący obojętnie na zepsucie swéj mowy, czyli na skażenie swojego pierwotnego ducha, prowadzone do skutku jakiemi bądź środki, przemienia się powoli w trzodę pstrokatą bełkotającą jakimś dziwnym językiem, w massę zgrzybiałą, gnijącą, przekształcającą się z czasem w zupełnie innorodne części. Taki naród wlokący się po przeżyciu swojéj duchowości jak strupiałe widma po grobach wzniosłych naddziadów, godzien największéj pogardy i najokropniejszéj klątwy, bo zhańbił się, przeżył sam siebie, nie umarł po swéj rzeczywistéj śmierci, i rzucił lub dozwolił sobie wyrwać z rąk pochodnię duchową, przyświecającą mu śród ziemskiego pątnictwa.

Takie zepsucie mowy różnemi urzeczywistnia się sposoby. Jeżeli naród samodzielny, stojący o własnéj sile, bawi się jak dziecię cackiem błyszczącém papląc zagranicznym językiem zapomniawszy o swoim; jeżeli piśmiennictwu swemu nadaje krój obcy, lud nawet całkiem pisze w zagranicznym języku; jeżeli młodzież krajową według mniemanych prawideł dobrego smaku wychowuje, albo ich wychowanie w ręce oszustów oddaje i t. d., wtenczas naród sam, acz samoistny kazi swoję mowę, i pospiesza szybkim krokiem do roztoczenia się w zbutwiałe cząsteczki; chociaż nie podobna przypuścić, ażeby taki naród nie ocknął się sam ze śmiertelnego letargu, i otrząsnąwszy się z obcéj pleśni nie pielęgnował tém staranniéj swojskiéj rośliny. Podobne omamienie może mu tylko na chwilę oczy zamydlić, i zepchnąć go z prawéj drogi, na któréj podług swego stanowiska daléj postępować powinien.

Wspomnieliśmy wyżéj nawiasowo, że osady cudzoziemskie, wprowadzone w kraj zabrany, przyczyniają się do przenarodowienia onegoż. Nie zawsze jednak odnoszą skutek pomyślny. Często zlewają się w massę narodową. — Ziemia bowiem wspiera według powyższego rozumowania niezmierny i konieczny wpływ na mowę mieszkańców. Ten wpływ ziemny połączony z duchem już istniejącéj i rozprzestrzenionéj mowy osobliwie widzieć się daje w magnetyczném przyswajaniu innorodców do swojego pierwotnego typu. Jeżeli bowiem osady nie są zbyt liczne, i jeżeli nie rozsiała ich ręka jedynowładzcy wyrachowanie, systematycznie, w znacznéj ilości do reszty mieszkańców dla powolnego przenarodowienia onychże: wtedy nie mogą się długo opierać swoją obcą narodowością, i spłyną za kilka pokoleń w ogólną massę narodu, między którym istnieją. Znaczna liczba niemieckich osadników przypływała dawniejszemi czasy do Polski, osiadała w Gdańsku, Toruniu, Krakowie i t. p. miastach, rządziła się osobno prawem magdeburskiém, a przecież nie wywarła wtenczas szkodliwego wpływu na polską narodowość, i poczęści spłynęła w massę krajowców. Dotychczas byliby zupełnie spolszczeli, gdyby temu nie były przeszkodziły późniejsze polityczne wypadki. Prędzéj niż miasta przyswajają się wsie osadników. Ustawiczne stósunki z krajowcami swoim jedynie językiem mówiącymi przyczynia się najwięcéj do tego, że się mowy krajowéj prędko nauczają, i że ich wnuki albo prawnuki strój,

obyczaje i mowę nowéj ojczyzny zupełnie przyjmują *). W Alzacyi niemiecki język ledwo się chwieje. W Rossyi za sto lat lub nieco późniéj o Mordwinach, Osetyńcach, Tatarach, Czeremissach, niemieckich tu i owdzie rozstrzelonych osadach i o innych małych plemionach pewno nie usłyszysz. — Szkodliwego wpływu wynikającego z nazbyt licznéj ilości innorodzców doznały Czechy okrążone prawie dokoła niemieckiemi osady, i przygniecione niemi od południowéj i zachodniéj strony, szczególniéj łańcuchem od czeskiego lasu aż do gór olbrzymich. Od bitwy na Białéj-górze dopiéro dzisiaj poczeli się otrząsać z pyłu obczyzny.

Że polska mowa jest najwykształceńszą między siostrami słowiańskiemi, że posiada najbogatsze piśmiennictwo; co jéj uczony Szafarzyk przyznaje mówiąc **): *Unter den slavischen Mundarten der nordwestlichen Ordnung ist die polnische durch ihre Ausbreitung und den Reichthum der Literatur die erste. Ihre Trennung vom gemeinschaftlichen Stamme verliert sich in das geheimnissvolle Dunkel der Vergangenheit. Anfangs der böhmischen und sorbenwendischen am nächsten verwandt, bildete sie sich, unter dem wechselnden Einflusse verschiedener, sowohl einheimischer als auch fremdherkommender Elemente, bald selbstständig aus, und wich von ihren westlichen und südlichen Schwestern immer mehr ab.* — A na str. 408. *Der Reichthum an mannigfach nuancirten Vocalen und Consonanten: a, à, ą, c, é, ę, o, ó; b und b'; c, ć und cz; ł und l; m und m'; n und ń; p und p'; r und rz; s, ś und sz; w und w'; z, ź und ż, ferner die häufigen Uebergänge der Laute in verwandte oder ähnliche bei Biegungen und Abwandlungen der Wörter, verbunden mit der allen slavischen Dialekten gemeinen Mannigfaltigkeit der Bildungs- und Biegungsformen, machen sie zu einer der feinsten, tönendsten, aber auch zugleich der künstlichsten und schwersten unter allen slavischen Mundarten sowohl für Slaven als für Nichtslaven...* chociaż jéj dzisiaj może zapomniawszy, co r. 1826. powiedział tego pierwszeństwa odmawia, bo jeżeli Rossyjanie postąpili, to przecieżeśmy nie ugrzęźli w błocie — a zresztą Mickiewicze, Trentowscy i t. p. nie rosną pono jak grzyby po deszczu, stawiając rossyjskie piśmiennictwo na czele *): *Ruská literatura nyniejszého czasu mezi wszemi slowanský'mi, jak hojnosti a rozmanitosti, tak i wy'tecznosti plodúw, bez odporu přední zaujímá místo*... a na str. 82. *Poláci honosí se podnes, wedlé Rusuw, nejbohatszí literaturau národní mezi Slowany* — jakie teraz właściwe jéj stanowisko ze względu na inne pobratymcze języki: te itp. pytania przechodziłyby zakres niniejszéj rozprawy.

*) Powracając z karpackiéj podróży, musiałem dla nadzwyczajnéj słoty i ogromnego wylewu Dunajca dwa dni we wsi Kadcza milę od Starego-Sącza zabawić, gdzie są znaczne niemieckie osady. Zadziwiłem się mocno rozmawiając z tamecznymi osadnikami, ubranymi zupełnie w strój okolicznych wieśniaków, i mówiącymi tak po polsku, jakby się ich przodkowie za Bolesławów w Polsce urodzili.

**) Geschichte der slawischen Sprache und Literatur nach allen Mundarten von P. J. Schafarik. Ofen 1826. — §. 48. stron. 406.

*) W dziele: Slowansky' Národopis w Praze. Nákladem wydawatele 1842. str. 17.

Lach K.

Korrespondencya.

Szanowna Redakcyo!

Bezimienny Autor listów Galicyjskich wydanych w Supraślu utrzymuje na karcie 58. i 64., iż moje podania w Rysie Statystyczno-Jeograficznym Galicyi Austryackiéj na żadną wiarę nie zasługują. — Nie troszcząc się bynajmniéj czy korespondent Galicyjski mi wierzy lub nie, nieodpowiadałbym zupełnie na te zarzuty, gdyby nie myśl, że ktos, przeczytawszy mógłby mnie posądzić, iż wydając to dziełko miałem (jak to wielu czyni) tylko chęć zysku na myśli. Lubo niepowiadam jak Autor listów Galicyjskich, o czém sam wspomina Dóbr w Obwodzie Rzeszowskim, Królestwie Polskiém, nie byłem nigdy Spekulantem i na grosz Współziomków nigdy nie liczyłem, a jeżeli Rys Statystyczny wydałem, uczyniłem to dla tego, że mając przez różne stosunki (których wymieniać nie myślę) sposobność zebrania o Galicyi Dat statystycznych moich Rodaków z niemi zapoznać chciałem.

Dla tego wybacz Szanowna Redakcyo, iż Cię o umieszczeniu méj Odpowiedzi w swém Piśmie upraszam.

Nie będąc zarozumiałym, wiem, że w moim Pisemku znajdować się mogą Pomyłki, ale nie takie, jakie Autor Listów wytyka.

1) Że w moim dziełku na karcie 38. Ogół Podatków w Galicyi, na 4 miliardy 350. tysięcy wyrachowany nikt mnie nie obwini, kto nie tak pospiesznie jak Korespondent Galicyjski te kartę przeczyta, gdyż na téj saméj karcie poniżéj ten Ogół jest powtórzonym, a ktoby chcąc krytykować, zadałby sobie był prace, zliczyć i szczegółowe liczby Podatków byłby się przekonał, że zaszła Pomyłka ale nie moja, tylko druku.

2) Że w moich podaniach są wyrażone grajcary i ich ułamki, tożsamo powinno było przekonać, że musiałem mieć jakieś urzędowe źródła z których je czerpałem, bo lubo Korespondent Galicyjski utrzymuje, iż Wykazy statystyczne tylko Cesarzowi i familii Cesarskiéj są wiadome, zapomniał szanowny Autor, że ani Cesarz ani jego familia do Lwowa dla wyciągania ich nie zjeżdżają, ale, że Buchhalterya Lwowska te wykazy wypisuje i dopiero przepisane (mundowane) do Wiednia odseła. Pierwopisy (Bruliony) w aktach się zostają.

3) Co się tycze soli, iż wydobycie cetnara 36 Kr. C. M. kosztuje, nie odwołuję i póty nie odwołam, póki mnie korespondent Galicyjski nie przekona, że koszt ten nigdy 12 Kr. nie przenosi, będąc bowiem synem jednego z najpierwszych w Wieliczce urzędników, z czasów Księstwa Warszawskiego upewniam, że i wtedy ten koszt 2 złote polskie wynosił.

M. W.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*